Ner 40. Kraków, 7go Października. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca. Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

TRZY ŻONY ZYGMUNTA AUGUSTA.

Szkic historyczny;

przez Autora

ANNY JAGIELLONKI i MARYI GONZAGI.

(Zobacz Nr. 26, 27, 34 i 35).

Po śmierci Barbary widzimy Zygmunta, zajętego pilnie sprawami państwa, odbywającego podróż do Prus książęcych i buntującego się Gdańska. Chciał on zapewne rozerwać ciągły swój smutek, chciał w dobroczynnem dla kraju zajęciu odbolić niepowetowaną stratę. Postanowił sobie Zygmunt August wzniosły cel dokończenia dziejowej Jagiellonów pracy: dokonanie unii i egzekucyi praw; zabezpieczenie Polsce tej potęgi ogromnej, którę chrzest Jagiełły i jego wybór na króla zapewniał koronie. Pomawiany od współczesnych i potomnych o bezczynność, o zaniedbywanie pracy około państwa, niedosyć ceniony jako polityk, był przecież sprawcą największych dla kraju dobrodziejstw, bo dokonał unii, bo ściągnął rozdarowane nieprawnie dobra królewskie; bo z szlachetną bezinteresownością czwartą część ich dochodów na stałe wojsko (tak zwaną kwartę) przeznaczył, bo wyrwaniem Inflant z paszczy Moskwy odpędził tę ostatnią od morza baltyckiego, do którego zmierzała. Jako polityk stał on najwyżej między Jagiellonami; w wewnętrznej albowiem polityce umiał zachować równowagę między możnowładztwem i szlachtą, w zewnętrznej przeczuł głównego wroga Polski w dążącej na zachód Moskwie. Niewzruszony w swoich postanowieniach, wyczekujący atoli raczej, niż prędki w działaniu, przeprowadził wszystko co zamierzył, a na chlubę jego powiedzieć można, że działanie jego dobroczynne odwlokło do dwóch wieków nieuchronny kraju upadek.

Politycznym to względom, nie serdecznemu już pociągowi, przepisywać należy, że dosyć prędko po stracie Barbary, bo w 1553 już roku, Zygmunt August w nowe wszedł śluby.

Otoczona zewsząd groźnemi potęgami, miała Polska od wieków trudne nader położenie. Jeżeli z jednej strony potęga Turcyi groziła jej zagładą, to potęga domu Habsburskiego dzierżąca w ręku interesa Niemiec zazdrosnem zawsze na nią spozierała okiem, a Moskwa, niosąca przed sobą pożyczany sztandar ruski, łakomo patrzyła na jej wschodnie dziedziny. Od czasów Maksymiliana i Zygmunta starego zawiązały się między Moskwą i austryackim domem ciągłe konszachty na szkodę Polski, które r. 1515 Zygmunt stary acz z wyraźną swoją przeciął niekorzyścią, okupując przyjaźń Habsburgów oddaniem swej expektatywy na koronę węgierską i czeską. Z obawy przed złowrogim aliansem moskiewsko-austryackim, zachował się Zygmunt biernie po śmierci Ludwika Jagiellończyka przed Mohaczem, a chociaż sprzyjał Zapolyi a nawet córkę zań wydał, nieśmiał przecież zbrojnej mu dawać pomocy. Te przyjazne z dworem rakuskim stósunki oziębiły się po śmierci Elżbiety, już to z przyczyny, że śmierć tę oziębłości męża przypisywano, już to o kwestyę Prus książęcych, których sekularyzacyi dotąd dwór niemiecki nieuznał, a nawet do Gdańska i Elbląga pretensyę sobie rościł. Z oziębieniem tem stosunków poszły nowe z Moskwą konszachty. Panował w Moskwie Iwan Wasylewicz groźny, ów niesłychany tyran, który przewyższył Neronów i Kaligulów starożytności. Wierny tradycyom domu garnął on się do Niemiec, zawiązywał przez Niemca Jana Szlitta stósunki z Ferdynandem... i zachodziła obawa, aby za odnowieniem dawnych węzłów, na rozgorączkowaną namiętnościami reformacyi Polskę nowa nie nadciągła burza.

Dnia 14go stycznia 1553 pisze Zygmunt August do Radziwiłła Czarnego: „Przyniesiono nam listy z Rzymu. Jest na co radę brać, bo ksiądz moskiewski u papieża stara się o koronę i obiecuje religię kościoła rzymskiego przyjąć, a w tem go cesarz pilnie forytuje.“ A w innym liście wyraża się o Habsburgach: „Ale ci panowie nic innego nie myślą, jak żeby się wszystko po ich woli działo, i owo na starą dziada swego praktykę nawracają!

Od Radziwiłła Czarnego wyszła rada, aby małżeńskim związkiem z Habsburgami się połączywszy, ułagodzić ich wrogie postanowienie. Niebrak poszlaków, że im otworzono nawet perspektywę na nową koronę, na koronę polską, w razie, gdyby król bezpotomnie umarł. Poselstwa w celu zmówienia księżniczki podjął się sam Radziwiłł Czarny, dobrze widziany u dworu, jako książę rzeszy niemieckiej. Jak dalece król niechętny był temu nowemu małżeństwu świadczy kilkakrotne odwlekanie dnia ślubu, który wreszcie na dzień 31 lipca oznaczonym został.

Wybór padł na Katarzynę, starszą siostrę zmarłej Elżbiety, wdowę po książęciu mantuańskiem. Niepierwszej już młodości, otyła, nieodpowiadała narzeczona wybrednemu gustowi króla polskiego. Wspaniałe wesele, które Orzechowski opisał (Pam. Niemc. o dawnej Polsce tom 5), uświetnione obecnością licznych książąt niemieckich i szląskich, oraz brata królowej, Ferdynanda, (później cesarza), turnieje i przepych polskiego rycerstwa, szumne mowy i panegiryki literatów pragnących chleba, do których sam Orzechowski należał, przykro odbijały przy schorzałej twarzy Zygmunta Augusta, który właśnie wstał z choroby, i żałobnej sukni oblu-

bienicy, która niedawno po pierwszym mężu łzy otarła. Niebrakło kwasów i na weselu. Między innymi Jan Tarnowski, od czasu, gdy król się do Radziwiłła przychylił, jawny malkontent, oświadczał się groźnie przeciw wieściom, jakoby król koronę przyrzekł Austryakowi, a podkanclerzy Przerębski, towarzysz podróży Radziwiłła, zgniewany o posądzenie, że się coś podobnego w jego przytomności, jako stróża praw dziać miało, wyzywał na pojedynek tego, który by mu to śmiał w oczy powiedzieć. Arcyksiążę Ferdynand w złym humorze opuścił świetną stolicę królewską.

Król zrazu zdawał się szczerze przychylnym żonie. Gdy w roku 1554 na zdrowiu zapadła, z wielką troskliwością donosi o każdym symptomacie choroby przyjacielowi swemu Radziwiłłowi; licznych sprowadza lekarzy, a nawet sejm lubelski opuszcza, aby się z nią widzieć. Z listów jego widać, że była podówczas nadzieja potomstwa z Katarzyny. Ale niezadługo ucichło o tem, król rzadziej z żoną widywać się począł, sprawa Inflant (1557 r.) oddaliła go na kilka lat z Polski. Królowa zamieszkała samotna w Radomiu. Niechętny Zygmuntowi legat Lippomano już wówczas oskarża go o postronne miłostki. Przyczyna tej zmiany stosunków małżeńskich pozostanie na zawsze tajemnicą. Przypisywali ją jedni wielkiej chorobie, która królowi żonę obrzydziła; drudzy nieprzyjaznemu Polsce usposobieniu idącemu tak daleko, że nawet dziecięcia mieć niechciała, aby Polsce następcy niezostawić; inni wreszcie intrydze uknowanej przez królową podsunięcia dziecka obcego w razie gdyby sama była niepłodną—że sam król oświadczał wielekroć, że z żoną mieszkać niemoże, choćby mu przyszło dać gardło.

(C. d. n.)

Separacya.

Obrazek dramatyczny w Im akcie, oryginalnie napisany.

Osoby:

WANDA, *młoda mężatka.*
ZOSIA, *garderobiana.*

Rzecz dzieje się w Warszawie.

(Salon gustownie umeblowany, drzwi w środku i po bokach, okno po lewej stronie, wielkie lustro po prawej, kapelusz i mantyla na krześle).

SCENA I.

WANDA *sama (siedzi w fotelu — ubrana jak na wizytę — nieco rozdąsana).*

Nie! to nie do zniesienia! to nad moje siły!
Mój mąż, zawsze tak dobry, uprzejmy i miły,
Od niejakiego czasu przybiera ton pana...
Za słabo się wyrażam: srogiego tyrana!
Najmniejszej przyjemności wzbrania absolutnie;
To niegodnie! bezwstydnie! a nawet okrutnie!
Mojaż wina, że jakiś młody zapaleniec
Ściga mnie nieustannie? zwyczajnie szaleniec!
Jakich w każdej stolicy liczą na tuziny,
Z cygarem i lornetką szuka heroiny;
(Wstaje).
Ja się na nią nie piszę, daremne staranie,
Szkoda twoich przymileń, mój rozkoszny panie!
Mam męża, i wiem o tem, uczciwa kobieta
Niepobłądzi płochością, złudzeń się niechwyta;
Lecz mój mąż niezna widzę jeszcze serca mego,
Kiedy się mógł dopuścić czynu tak zdrożnego!
Wczoraj pani Milecka— wdowa po prezesie,
Której mąż straszny kutwa, jak nam fama niesie,
Zmarł, tknięty apopleksyą przegrawszy w ekartę...
Mając dom dla przyjaciół i serce otwarte —
Zaprosiła mnie z mężom, na wieczór muzyczny...
Cel zabawy niewinny, nawet estetyczny;
Małe grono dam zacnych, z wyborem młodzieży,
Bawiło się wesoło, uprzejmie, najszczerzej;
W tem lokaj anonsuje hrabiego Wacława!
Jakby uciął... wnet miła przerwana zabawa;
Pan hrabia ma renomę młodego wietrznika,
Co każde towarzystwo postrachem przenika;
Zwykł wpadać do salonu, chociaż nieproszony,
Szastać się, jak szaleniec i prawić androny,
A ufny, że w Paryżu brał lekcye na szpady,
Szuka między młodzieżą zaczepki i zwady;
Już kilka pojedynków miał podobno skrycie;
Ztąd go młodzież unika, dbając o swe życie;
Prezesowa, zmięszana tak dziwną wizytą,
Grzecznie go zapytuje, choć z niechęcią skrytą:
Jakiemu przypadkowi przypisywać może
Odwiedziny hrabiego o tak późnej porze?
On, z zwykłą efronteryą na to odpowiada:
Że wszędzie chętnie gości, gdzie jaka biesiada;
Odpowiedź tak naiwna jednych rozśmieszyła,
Drugich przeciw hrabiemu mocno oburzyła;
Powstały ciche szepty, dwuznaczne spojrzenia;
Lecz pan hrabia bynajmniej roli nieodmienia:
Podług swego zwyczaju damy lornetuje,
Młodzież mierzy z ukosa, a z mężów żartuje;
A .. na domiar trzpiotostwa i lekkomyślności,
Do mnie zawraca oczy i prawi grzeczności...
Mój małżonek, co zawsze gorąco kąpany,
Tą śmiałością młodzika mocno rozgniewany,
Rzekł z naciskiem: „Mój panie! zwracaj w inną stronę
Swoję modną lornetkę, nie na moją żonę!
I niewiele myślący, żegna prezesową,
Mnie zaś podaje rękę, i tak obcesowo
Wywodzi mnie z salonu ta zazdrosna dusza,
Żem niezdążyła nawet włożyć kapelusza;
Obrażona tą akcyą, rubaszną nad miarę,
Wyrzekłam mu przez drogę prawdy słówek parę;
Pan mąż w powozie milczał, ale za to w domu
Nieżyczę takiej burzy doświadczać nikomu,
Uderzył na mnie z całą swych podejrzeń siłą,
Wmawiał to, o czem mi się nigdy ani śniło;
A nawet śmiał powiedzieć, w chwili uniesienia,
Że ja byłam przyczyną całego zdarzenia...
Że moją kokieteryą hrabia... ośmielony,

Spadł, jak bomba, na wieczór wcale nieproszony;
Ten zarzut dotknął silnie biedne serce moje,
Gniew, i żal niewymowny, wywołał łez zdroje!
A chcąc położyć koniec memu udręczeniu,
Rzekłam bez myśli parę słów o rozłączeniu;
Jak piorunem rażony, lub kulą śród boju,
Pan mąż pobladł, zachwiał się i wyszedł z pokoju!
Żal mi się go zrobiło, już przeprosić chciałam,
Lecz byłam tak znużoną tem, czego doznałam,
Żem w kilka minut potem na piękne zasnęła;
I tak burza wraz ze snem jakoś przeminęła;
Dziś... on musi przepraszać, ja nie myślę wcale...
Dość już tej uległości, tak mój ideale!
Za wczorajsze wyrzuty, hałasy, wywody
Musisz pięknie przeprosić, jeśli pragniesz zgody!
Ci panowie mężowie, to jak dzikie koty,
Gdy słabość żon poczują, straszne czynią psoty!
Dajcie ich moje panie na nauczkę do mnie,
Poznają, jak to trzeba żyć grzecznie i skromnie!
(spogląda na zegarek).
Wszak to już po dziesiątej, w sam czas do kościoła;
Zosiu! Zosiu! pewnie spi, kto się jej dowoła!?
(Dzwoni).

SCENA II.

WANDA i ZOSIA *(z listem).*

WANDA.

Znowu drzymiesz? ty nigdy wyspać się niemożesz;
Pojadę do kościoła, płaszcz mi wdziać pomożesz.
Cóż to za list masz w ręku?

ZOSIA *(smutno).*

Ej! to list od pana.

WANDA.

Dla czegoś taka smutna? nawet zapłakana?!
Mów! czy jaki przypadek?

ZOSIA *(oddaje list).*

Niech pani przeczyta!
My jesteśmy zamknięte, w więzieniu i... kwita!

WANDA.

W więzieniu? nierozumiem! *(czyta):* „Moja pani żono!
(Mówi) Cóż za ton osobliwszy?! *(czyta:)* „Wczoraj rzekłaś sama,
„Że pragniesz żyć odemnie z dala... odłączoną.
„Zgadzam się; lecz niech pierwej przyjedzie twa mama;
„Już telegrafowałem — dzisiaj ją powitasz.
„Ale, od chwili, w której pani ten list czytasz,
„Niemożesz wyjść ni krokiem z twojego salonu,
„Aż do przybycia matki! Jej sługa do zgonu!"
(Z wybuchem łez pada w krzesło).
Ach! tego już za wiele! o ja nieszczęśliwa!
Zdrajca! z taką łatwością święte śluby zrywa!?
On mnie nigdy niekochał! ach ten przeniewierca!
To nie mąż; ale tyran, okrutnik bez serca!
Żartem słowo wyrzekłam dla poparcia racyi,
On już telegrafuje, że chcę separacyi!...
I co matka pomyśli o tej całej sprawie?
A co to plotek teraz będzie po Warszawie?
O niegodny Gustawie! za tyle miłości
Odpłacasz mi dziś wzgardą! o wężu chytrości!
Serce mi pęka z żalu!... tego nieprzeżyję!...
Jestże nad moje... większe gdzie nieszczęście czyje?
Gdybym choć tego zdrajcy niekochała tyle,
Znośniejsze by mi były rozłączenia chwile;
Lecz, jam w nim moję całą duszę utopiła!
(szlochając).
A on... zgrozo!... chce, bym z nim w separacyi żyła!...

ZOSIA *(płacząc).*

O pani! droga pani jeszcze zachoruje!

WANDA.

Owszem, ja chcę chorować! niech ten wąż uczuje,
Jaki cios zadał sercu, co go tak kochało!...
Nie, nie, niechcę choroby, o! bo tej za mało!
Pragnę śmierci, tak śmierci w okropnem cierpieniu,
Niech dźwiga wieczny wyrzut na swojem sumieniu.
(Słychać dzwonienie).
Ktoś dzwoni! może to on?... Zosiu, idź się dowiedz,
Jeżeliby kto obcy: „niema pani" powiedz.
(Zosia odchodzi).

WANDA.

(Idzie do lustra, ociera oczy i twarz chustką).
Mój Boże! jakżem blada, oczy zapłakane...
Może się cieszyć zdrajca... tryumfować skrycie,
Że mi zadał cios srógi, i zatruł mi życie!

SCENA III.

WANDA i ZOSIA *(wracająca z nowym listem).*

ZOSIA.

Od pani Zalotnickiej. *(oddaje).*

WANDA.

Zkądże owa łaska?
Cóż może pisać do mnie ta chodząca maska,
Co z daleka już trwoży wszystkich swem bielidłem?
I dwóch słów nie mówiłam nigdy z tem straszydłem!
(czyta:) „Aniołku! wybacz, proszę, moją niedorzeczność,
„Że sama nieprzybywam, może to niegrzeczność
„Zbyt wielka z mojej strony; ale mi wybaczysz,
„Gdy mój bilet odczytać i zrozumieć raczysz:
„Wydaję dzisiaj wieczór, tańcującą kawę;
„Mnóstwo osób sproszonych mam na tę zabawę:
„Będzie książę, pan baron świeżo kreowany,
„Hrabina Małomiejska, i markiz ci znany;
„Słowem, że towarzystwo świetne, jakich mało,
„Tylko nam do kompletu ciebie brakowało.
„Przyjedź, jeśli mnie kochasz, cudowna zabawa,
„Spodziewam się mieć nawet hrabiego Wacława,

„Twojego wielbiciela... na niebios sklepienia
„Zaklinam cię, przybywaj! Adieu! do widzenia!
(Rozgniewana siada i pisze, dyktując).
„Przepraszam, niebyłyśmy dotąd w zażyłości,
„Byś mnie pani liczyła w poczet swoich gości;
„Nieubliżam nikomu; lecz jej zaproszenie
„Obraża mnie i męża. Kłaniam uniżenie!"
(Pieczętuje list i oddaje Zosi).
Oddaj to lokajowi. *(Zosia odchodzi).*
To śmiałość bez granic!
Dobre imie kobiety, jej sławę mieć za nic?!
(Drze list Zalotnickiej).
Pisać podobne rzeczy, to do zadziwienia!
Szczęściem Gustaw niewidział tego zaproszenia;
Mógłby sądzić, że żyję z tą panią w przyjaźni!
Ach jak mnie wszystko nęka, oburza i drażni!...
Dziwaczną czasem bywa w pożyciu przemiana:
Dotąd byłam szczęśliwa, czczona, poważana;
Dziś, fatalnem zrządzeniem, jedno poróżnienie
Strąca mnie z szczytu szczęścia, w smutne poniżenie!
Kobieta, ledwie znana, którą gardzę w duszy,
Dorzuca jawnych obelg do moich katuszy;
O Gustawie! Gustawie! jakżeś ty okrutny!
Godziłoż się twej żonie orzec los tak smutny?!
(po chwili).
Gdybym też napisała bilecik do niego?
Tłómacząc się z wyrazu tyle nieszczęsnego ..
On ma tak czułe serce, on by mi darował!
(z westchnieniem).
Ach, zapóźno! po matkę już telegrafował!
Prawdziwie to niegodnie, mściwie z jego strony!
Żeby tak srogo karać jeden wyraz żony;
Przecież on jest mym mężem, mógł oddać wet za wet;
Mógł mnie złajać, wykrzyczyć i poszturchać nawet...
Niktby mu niezabronił, ma prawo do żony,
Byłabym popłakała i... proces skończony;
Nie... jak student w milczeniu... zagryść mściwe wargi,
I dalejże przed matką rozpościerać skargi!...
O stokroć są szczęśliwsze żony gminnych ludzi,
Ich miłości drobnostka żadna nieostudzi:
Choć się czasem pokłócą, podrapią, wyczubią,
To wkrótce się przeproszą, i znowu się lubią;
A nasi wykształceni panowie mężowie...
Jeśli się który zgniewa... i słowa niepowie;
Lecz woła adwokata... żąda separacyi!...
(grozi i tupie nogą).
Oj trzebaby tym panom porządnej kuracyi!...

SCENA IV i ostatnia.

WANDA i ZOSIA *(z listem).*

ZOSIA.

Michał, odźwierny, oddał nowy list do pani.

WANDA *(biorąc).*

Od Gustawa! *(ociera oczy)* ach tyran! jak mi serce rani!
(Czyta:) „Kochana, droga Wando!
(całuje list z rozrzewnieniem).
Mój mężu kochany!
(Czyta:) „O poprawie i żalu twoim przekonany,
„Niechcę cię dłużej dręczyć i prawdę wyjawię:
„Twoja matka od rana dziś gości w Warszawie,
„Nie w skutek telegrafu, bo ten był zmyślony;
„Przyjechała po prostu do córki stęsknionej;
„Stoi w saskim hotelu, na uściski czeka;
„Niechże pani małżonka i chwili nie zwleka,
„Ubiera się co prędzej; konie już gotowe,
„Punkt jedenasta przyjdę po moją królowę!
„Separacyi niebędzie, to wszystko udanie,
„Jestto figiel za twoje wczorajsze dąsanie;
„List pani Zalotnickiej także dziełem mojem,
„Musiałem cię za mój ból skarać niepokojem;
„Twój najczulszy małżonek!" *(mówi:)*
O łotrze! filucie!
Na takę straszną próbę narażać me czucie!?
Poczekaj panie mężu! za tego psikusa
Musisz mnie długo dzisiaj prosić o całusa!
Zosiu! czegóż ty stoisz i dumasz daremnie?
Jedenasta dochodzi, a ubieraj że mnie!

ZOSIA.

Czy pani płaszczyk wdzieje?

WANDA *(wskazuje).*

Niewidzisz mantyli?

ZOSIA.

Tam dziś chłodno na dworze!

WANDA.

(Coraz żywiej idzie scena).

Nietrać próżno chwili!...
Ona prawi o zimnie, a jam w ogniach cała?
(Idzie do lustra, ociera twarz chustką).
Ani śladu na twarzy, żem dzisiaj płakała.
(Zosia podaje kapelusz, mantylę, ona się ubiera przed lustrem z kokieteryą).
O poczekaj lamparcie! tak mnie irrytować!
Jegomość za ten figiel musisz pokutować!
(Z kaprysem do Zosi).
Kapelusz zapylony, *(otrzepuje)* na nic nieuważsz!—
Zamiast żonę przeprosić, podstępem obrażasz?
Niemyśl panie Gustawie że ci to daruję,
Ja cię przed moją mamą pięknie odmaluję! —
Dawaj prędzej mantylę, ach jakżeś niezgrabna!
Spiesz się! — Do separacyi! intryga powabna,
Poczekaj, nic dobrego! dam ci rozłączenie...
Przecież ja ładną jestem, może powiesz że nie? —
Dziś chciałabym się całej podobać Warszawie!

(Zegar bić zaczyna 11tą).

Zosia.

Pani! pani! pan idzie!

Wanda.

(Biegnie na środek, jakoby się rzucała w objęcia).

Kochany Gustawie!!

(Zasłona spada).

r. ski.

OBRAZY Z ŻYCIA.

(Zobacz Nr 26, 27, 28 i 29).

Jednego za mało.

— Kochana ciociu — mówiła panna Cecylia do pani Lityńskiej — poco my pojedziemy do tego Wiśniowczyka? Trzeba się ubrać i to starannie, by nie być wyśmianą, trzeba stracić godzin kilka, którebyśmy mogły strawić w domu na czytaniu, graniu, pisaniu, i używaniu bez przymusu ślicznego powietrza w ogrodzie; trzeba wszystko uczynić, wszystkiego się zrzec dla odwiedzenia jakichś starych państwa, których ja i nie znam. Gdyby to ciocia wiedziała, jak ja nie lubię tych świeżych znajomości.

— Moje dziecko — odpowiedziała pani Lityńska — mieszkańcy Wiśniowczyka są nasi dawni znajomi. Kochają nas; a więc i ciebie, jako naszę krewną, przyjmą serdecznie.

— Ach, jak ja nie lubię tych świeżych, a jeszcze bardziej tych starych znajomości!—wymówiła znowu szesnastoletnia panna Cecylia. Mnie byłoby dosyć: znać moich rodziców, ciocię, wujcia i kilka moich koleżanek z pensyi.

— Czy doprawdy, i nikogo więcej?

Zarumieniła się panna Cecylia na to zapytanie, przy którem ciocia z figlarną miną w nią się wpatrzyła. Bo na prawdę—skończywszy nauki w domu cioci Lityńskiej, która dla swojej o parę lat od panny Cecylii młodszej córki przebywała w Krakowie—marzyła czasem o kimś, coby w niej miał upodobanie, i... rozumie się, jej się podobał.

Ciocia Lityńska, korzystając z przerwy nauk swojej córki, jaką zwykle sprowadzają wakacye, przyjechała na wieś, do domu męża, a ztamtąd za dni kilka, chciała odwieść pannę Cecylię do rodziców, którzy z prawdziwem zadowoleniem dowiedzieli się, że Cesia... zrobiwszy znaczne w naukach postępy, może już dokształcić się sama przy usilności własnej i prawdziwem zamiłowaniu nauki.

— Moja Cesiu — mówiła ciocia — wiesz, że z prawdziwą obawą spoglądam na tę twoją dzikość? Nie.... to jest zaprawdę tylko jakiś rodzaj lenistwa. Wiesz, że poznawając świeżo ludzi, trzeba się starać, aby ich zrozumieć, i samej im uczynić się zrozumiałą, trzeba się starać, aby im podobać się, toż to cię trudzi?

— Niewymownie moja ciociu trudzi i nudzi mnie to.

— A jednak, Cesiu! przygotuj się do tego, że i twoi rodzicy rozpoznali się teraz więcej z sąsiadami okolicy, w której zamieszkali, i że cię tam czeka wiele nowych znajomości.

— A na cóż rodzicom tego?

— Zabawne z ciebie dziecko, pomyślno, zkądże ma się wziąć los stósowny dla panienki? Juźci potrzeba, aby ją ludzie poznali, aby sobie zrobiła przyjaciół; aby, jak Bóg da, że się komu uczciwemu podoba, nikt nie przeszkodził jej do ustalenia losu. Nawet dobrze, moja Cesiu, żeśmy się o tem zgadały, widzę, że spoglądasz w zwierciadło z zadowoleniem, juźciż jesteś ładną dzieweczką, to widzisz (a wiem, że sobie tego nie masz za wielką zaletę), a jeżeli myślisz, że te twoje wdzięki, które zresztą może nie przetrwają pierwszej twojej młodości, mają ci koniecznie do stósownego losu posłużyć, to się bardzo a bardzo mylisz. Muszę cię ostrzedz, moje dziecko! bo w dość już długiem życiu mojem przyszłam do przekonania, iż prawie żaden, choćby nawet samodzielnego charakteru mężczyzna, nie przychodzi do postanowienia ożenienia się z panienką, która mu się nawet podoba, jeżeli mu jej nie przychwalą. Czy to dobry przyjaciel, czy znajomy, czy ktoś ze sług... a zawsze wpływa ktoś na ostateczne postanowienie mężczyzny. (?) A najczęściej młody człowiek idzie za poradą kobiety.

— Jakto ciociu?

— Jeden ma matkę, drugi siostrę, której ufa, i ją też o radę pyta, czasem żonę przyjaciela, którę z jej zalet wysoko ceni, ale prawie żaden bez podobnej porady nie bierze się do ożenienia.

— Julko, czego ty chcesz?

Służąca, która weszła, zapytała się jaki ubior ma paniom przygotować? Wypowiedziała swoje życzenia i pani Lityńska i Cesia, ta trochę z niechęcią spoglądając na Julkę, bowiem nie mogło się jej jakoś podobać to zachowanie się tej miejskiej służącej.

— Co ty masz Cesiu do Julki? — zapytała ciocia.

— Moja ciociu, nie lubię jej.

— Ale za cóż?

— Często taka zachmurzona!

— To prawda; lecz to w skutek nieszczęścia. Wiesz przecie, że jej mniemany narzeczony dopuścił się kradzieży, o czem się dowiedziała, gdy i ją okradł, i sam dostał się do kryminału. Jej wyrzeczenie się narzeczonego, którego kochała, i to ..,. wyrzeczenie się z takich powodów, musiało być dla niej bardzo przykrem.

Pokiwała główką panna Cecylia, bo jeszcze z innych względów nie lubiła Julki. Pani Lityńska, jako osoba sumienna i rozumna, odpowiadając zupełnie zaufaniu, jakie w niej położyli rodzicy Cesi, baczne miała oko na wszystkie jej czyny. I nieraz zdarzyło się, że panna Cecylia otrzymała naganę za niedość względne obejście się z służącą. Częściej nawet od służącej napominaną bywała za jakie uchybienie.

Działo się to z bardzo naturalnych powodów. Oddaną mając na wychowanie siostrzenicę, czuła się pani Lityńska obowiązaną czuwać nad jej udoskonaleniem. Do tego zaś obowiązku nie poczuwała się tak ściśle względem swojej płatnej służącej. Pannie Cecylii zaś zdawało się, że ciocia ma, jak to mówią, słabość dla Julki i trochę jej tego zazdrościła, a więc jej nie lubiła.

Panna Cecylia zresztą dobrą była panienką i do tego rozumną, o ile w jej wieku rozumną być można. Dlatego z towarzystwa cioci Lityńskiej większą korzyść wyciągnęła, niż z nauki poza domem na pensyi, i od nauczycieli w domu. Gdy ci dopomogli jej do uprawienia wrodzonych jej talentów, gdy na pensyi dano jej podstawy nauk i umiejętności zapewne potrzebnych — ciocia Lityńska uczyła ją zastanawiać się, szukać powodów objawów, których nie rozumiała; dochodzić skutków dalszych tego, co czyniła — słowem jednem, ciocia Lityńska uczyła ją myśleć.

I teraz, pomimo niechęci Cesi pojechały wszystkie do Wiśniowczyka, własności państwa Wyszogórskich, ludz w już bardzo podeszłym wieku, których zarazem ko-

chali i szanowali państwo Lityńscy. Prawdziwa staropolska gościnność, za której powodem dom rad tem czem bogaty, a serdeczność i dobre chęci gospodarstwa, najlepszą są przyprawą tego co przed gości położone; którzy starają się uprzyjemnić gościom każdą chwilę stósowną do ich wieku, do ich stanu, do ich wiedzy i wykształcenia rozmową lub zabawą, taka gościnność stała się przyczyną, że i panna Cecylia, za parę godzin pobytu, nie czuła się już obcą w Wiśniowczyku. Jakby na domiar jej zadowolenia, znalazło się i młodsze towarzystwo. Właśnie, gdy od obiadu wstawano, zajechała śliczna gniada czwórka, i z lekkiego koczyka wyskoczył młody daleki krewny państwa Wyszogórskich, Jan Przybęski.

— Jak się masz Jasiu — zawołali uradowani gospodarstwo oboje, i widocznie miło im było, że Jaś pomoże bawić rzadkich a miłych gości, a zarazem i sam, lepiej się w ich domu zabawić aniżeli się tego mógł spodziewać, oddając uszanowanie wiekowym krewnym. Przestrony ogród, użyczający wdzięku nieutrudzającej przechadzce; stos książek i dzienników nowych, znajdujący się w komnacie bawialnej, posłużył na przemian do zabawy i zadowolenia młodszego towarzystwa. Jaś, jak go nawet ogólnie i nie krewni nazywali, był młodzieńcem bardzo celujących przymiotów. Widoczna zaś jego łagodność i łatwość w obejściu się z ludźmi, także zgodność w towarzystwie, były przyczyną, że panem Janem (i to w oczy tylko służący go nazywali, po za oczy i u nich nazywał się Jasiem).

Jadąc do domu, przyznała panna Cecylia, że choć czasem, pomimo własnej chęci, idzie za wolą cioci: zawsze jej to wychodzi na dobre, bo nawet dzień ten, w którym tak bardzo obawiała się unudzenia, przeszedł dla niej bardzo przyjemnie.

Wyciągnęła jeszcze i inną korzyść z dnia tego panna Cecylia, jak ją powszechnie nazywano. Zastanowiła się i to głęboko nad tem, co jej przed wyjazdem ciocia powiedziała. Uznała, że ciocia zna się na ludziach i towarzystwach. Ułożyła więc sobie doświadczenie cioci obrócić na swoję korzyść.

Trzeba się starać, pomyślała sobie, o przyjaźń całej okolicy. Ażeby tę uzyskać, lepiej się wyrzec, przynajmniej tymczasem, tego dowcipku, którym w pensyi górowało się nad koleżankami, a który czasem był przyczyną, iż pannę Cecylię posądzano „o złe serce i złośliwość.“

Postanowienie to, skoro je powzięła, stało się prawie jej myślą nieustanną. Ciągła uwaga na każde słowo, zrazu dla niej bardzo uciążliwa, stała się później naturalną u niej prawie. Jednak, choć usta nie wymówiły, snuł się nieraz dowcipek swoją drogą po jej myślach, wywoływał czasem na usta przelotny uśmiech, ledwie od kogoś dostrzeżony. Piękne czarne oczka w chwili takiej rozjaśniały twarzyczkę silniejszym połyskiem; uśmiech kończył się wyrazem zadowolenia i opromieniał twarz, która... i tak z natury ładna, stała się tem bardziej zajmującą.

Więc nic dziwnego, że skoro pokazała się w domu rodziców i w sąsiedztwach, dom ten otaczających, powróciwszy z rozgłosem dobrze ukończonego w mieście wychowania: została panna Cecylia od razu celem ciekawości, podziwu, zazdrości starszych, mniej ładnych i mniej utalentowanych panien. Jednak i zazdrość nie potrafiła w niej wad wyśledzić. Była bowiem w domu kochających ją i roztropnych rodziców, którzy, pokrywając jej małe uchybienia, szczerze a serdecznie z nią się obchodząc, prowadzili niedoświadczenie jej młodości uroztropnością swoją, rozwagą i miłością — jak na pasku.

I któraż panienka młoda nie potrzebuje takiego prowadzenia? Bo, czyż... najpilniejsza i najlepsza nawet nauka... może dać znajomość świata i ludzi? A cóż dopiero mówić o tych najrozmaitszych odcieniach, wymaganiach każdego towarzystwa; zobowiązaniach, nawyknieniach, obsaczających każde towarzystwo? Wszystko to tworzy dla młodej osoby rodzaj labiryntu, w którym bardzo łatwo zabłądzić, uchybić dobrego losu, bardzo łatwo sobie zasłużyć na nieprzyjaźń, ściągnąć na siebie obmowę, a nawet popchniętą zostać na złą drogę, na drogę zguby moralnej.

Wszystkich tych niebezpieczeństw nie było dla panny Cecylii. Ufała rodzicom i kochała ich. Nie przyszło jej nigdy na myśl: ich zdanie poprawiać, ich woli, wolę swoję naprzeciwstawić. Wszystko co dla jej przyjemności czynili, wdzięcznie przyjmowała. Czego jej odmówili, chcieli lub musieli, o tem sądziła, iż jej tego sama odmawia Opatrzność. Więc żadne zadąsanie, żaden kaprys nie zachmurzał jej ślicznego czoła. W skutek tego, umilkła nawet zazdrość, a... jaśniejąca pięknością i młodością panna Cecylia, stała się celem ogólnej przychylności.

(C. d. n.).

Rzecz Literacka.

TALIZMAN.

Powieść w dwóch tomach, napisał Karol Cieszewski. (Lwów 1862. Drukiem K. Pillera. 8o. str. 230. i 260).

Powieść tę młodego autora, który jednakże już dość wiele (a może za wiele) napisał, i przez dwa lata *Czytelnią dla młodzieży* redagował, ocenia *Dziennik Literacki* (nr 76 i 77 b. r.) w ogólności dość sprawiedliwie i dokładnie. „Bohaterem powieści (czytamy w *Dzienniku Literackim*) jest Antoni Pradecki, dusza poetyczna, ztąd kolizya z losem i walka ze światem... Autor jednak nie narysował czytelnikowi jasno i dokładnie jego (bohatera) charakteru, bo nie motywował wszędzie dostatecznie działań jego. W nakreśleniu głównej tej postaci poznać można autora jeszcze młodego, który nie zagłębia się w przyczyny, tylko opowiada skutki; który nie docieka jeszcze owych drobnych sprężynek działań, co jak włoskowe arterye w ludzkiem ciele warunkują cały jego system nerwowy; ale postacie swe głównemi, grubszemi szkicuje konturami; który nie dosyć wytrawnym jest jeszcze artystą, ażeby pracy swej przyjrzeć się w oddaleniu niejako i nie sądzić, że to, co w duszy jego jest umotywowane dostatecznie, równie jasnem i zrozumiałem jest i dla obcego (?) czytelnika“ i t. d.

Autor powieści czy tam romansu, który wszędzie i zawsze działania osób, które na scenę wyprowadza dokładnie motywuje; czyli, który zawsze skutki poprzedza przyczynami a przyczynami wewnętrznemi, taki autor nie opisuje nam osób działających, ale je *stwarza.*

Tak twierdzimy i inaczej twierdzić niepodobna. Nie piszemy się bezwarunkowo na zdanie Mickiewicza (Prelekcye w *Collège de France*, że wnikanie Walter-Skota w osób działających wnętrzne, jest jego głównym błędem, jest prostym fałszem; ale twierdzimy, że to wnikanie jest wyłącznem prawem twórcy i... że tego prawa wykonanie tylko dla niego jest możliwem. Nim dalej postąpimy, przytoczmy przykład: Jowisz Olimpijski jest także przedstawionym w jednej chwili *działania*, w której toż przyszło do skutku, więc i do spoczynku. Czemże Fidyasz to działanie umotywował? zapytuję. A przecież umotywował je najdostateczniej dla

wszystkich wieków dzieło jego podziwiających. Umotywował artysta posąg tem, czem się tenże na zewnątrz przedstawia w *swojej całości*. Gdy więc artysta-powieściopisarz umotywuje całem zewnętrznem działaniem charakter swego bohatera, toć uczynił wszystko, czego po powieściarzu słusznie i sprawiedliwie wymagać można. Skoro tak jest, tedy po autorze Talizmana nie można więcej żądać nad stałe przeprowadzenie charakteru jednej i tejże samej osoby, lub nad wyjaśnienie zmiany w charakterze, jeżeli ta nastąpiła. Gdy pisarz jest przedmiotowym, natenczas wszelkie zbyt głębokie wnikanie w powody działających osób dowodzi jedynie niebaczności i zwichnie cały utwór poety, bo poeta objektywny powinien brać co jest, a nie przesądzać, co być powinno—wtedy nawet, gdyby dążył do ideału. Tylko podmiotowy pisarz mógłby wychodzić z wnętrza działających osób, których istność konstruuje, prawie jak matematyk; alež musiałby pisać dla tych, którzy naprzód matematycznych określeń, a potem matematycznych dedukcyj wymagają i potrzebują.

Mimochodem powiedzmy jeszcze, że w Antonim Pradeckim charakter dopiero się wyrabia.

(Dok. nast.)

Gawędy panny Reginy.

Na początku jesieni roku 1835, roku pełnego trwogi, w którym kometa Haleja swym ogromnym ogonem zagrażał naszej ziemi, a szewc z trójki hultajskiej, rozprawiając desperacko o astronomii, na piękne się rozpił, dwaj młodzi przyjaciele i koledzy szkolni, ukończywszy w Lublinie gimnazyum z pociechą dla rodziców, a dla siebie z chlubą, umówili się aby wspólnym kosztem zwiedzić w Puławach ogród wspaniały, pałac książęcy, Sybillę i wszystkie (?) osobliwości; w tym celu ugodzili sobie żydka furmana z parokonnym wózkiem na całe dwa dni, bo mieli zatrzymać sią po drodze przez kilka godzin w miasteczku Kurowie, chcąc obejrzeć probostwo architektury włoskiej, pamiętne mieszkaniem braci Piramowiczów, literatów, którzy łącznie z Kopczyńskim wypracpwali gramatykę polską, i sławny park zwany Olesin, założony zapewne na pamiątkę jakiej pięknej Olesi, a może i Olesia—lecz o tem żadna kronika nie wzmiankuje, wiemy tylko że go właściciel Kurowa, Stanisław Potocki, założył. Skoro świt... zajeżdża żydek wózkiem przed ich mieszkanie; ale o zgrozo! drabinki sznurem powiązane, półkoszki dziurawe, w domiar nieszczęścia jeden koń ślepy, a drugi kulawy!

— Icku! bój się Boga! my tym wózkiem niezajedziemy do Puław, rozleci się wpół drogi! — wołał stroskany pan Feliks, jeden z dwóch przyjaciół. A żyd mu na to:

— Ah, co się pan turbuje! ja tym wozem po trzydzieści centnarów z magazynem woził do Zamościa, on jeszcze mnie przeciągnie!

— Ależ jeden koń ślepy, a drugi kulawy!

— Ny, to tak umyślnie, ten ślepy jest trochę dziki, więc lepiej że niedowidzi, bo się niebędzie strachał; a ten kulawy, to dla tego, żeby jak przyjdzie jechać z górki, czasem się nierozbiegał; bo to... chowaj Boże! o przypadek w drodze nie trudno.

— Poprawże siedzenie i jedź do rogatki; my tam naprzód pieszo pójdziemy, wstyd by nam było jechać przez miasto takiemi chabetami!

— At, co się to wstydzić? choćby z najgorszym wózkiem, to przecież lepiej niż piechotem jechać! Z Lublina do Kurowa lekkie cztery milki, szosa doskonała, równo jak po stole, przecież panowie młodzi musieli odbyć dwa popasy, jeden w Garbowie, drugi w Markuszowie; prócz tego reb Icek co chwila złazil z wózka, bo co chwila coś się zepsuło! — tpru! tpru! lon mi wyskoczył, trzeba go lepiej przybić; to znowu — tpru! panowie oba siedzą na jedną stronę, półkoszek się psuje i siano ucieka; nareszcie: tpru! niech panowie trochę pójdą piechotą, bo tu raptem z górki! — i tak ledwie na godzinę pierwszą z południa stanęli w Kurowie; zajechawszy do oberży i posiliwszy się nieco polewką piwną, poszli obejrzeć probostwo; po dwugodzinnym przeglądzie, po odrysowaniu niektórych kapiteli i gzymsów, wracają do oberzy chcąc zaraz wyjechać, by można jeszcze widzieć zachód słońca w Puławach, a nazajutrz równo ze świtem oglądać wszystko z uwagą— jakież było ich zadziwienie, gdy wszedłszy do stajni, ujrzeli swój wózek bez przedniego koła; zapytują o Icka; gospodarz z uśmiechem odpowiada, że Icek na ślepym koniu pojechał do Lublina po inne koło, niechcąc kowalowi zapłacić dwóch złotych za reparacyą.

— A kiedyż on powróci z tem kołem?

— Nieprędzej jak około północy.

— A niechże go diabli porwą! i co my tu przez ten czas robić będziemy? choćbyśmy się pieszo do Puław puścili, dwóch mil nieujdziem przed zachodem słońca. Kiedy tak sturbowani naradzają się z sobą, co dalej czynić? zbliża się do nich jakiś obywatel, którego powóz stanął przed oberzą dla wytchnięcia cokolwiek koniom, wypytuje o przyczynę kłopotu, o ich nazwiska, w końcu zaprasza do swego powozu, mówiąc: że w tymże samym celu jedzie do Puław, i że mu bardzo przyjemnie będzie korzystać z przypadku, który mu nastręcza tak miłe towarzystwo. Panowie młodzi zwykle się prędko decydują, więc i ci niedali się długo prosić: zostawili w oberży 10 złotych dla Icka, z zastrzeżeniem by sobie wracał do Lublina, bo oni nie będą z nim dalej odbywać podróży, a sami, zapaliwszy cygara, wsiedli do powozu, ofiarowanego im z taką uprzejmością. Pan D. właściciel obszernych włości, człowiek około lat 34, wesoły, gościnny, umiejący korzystać z każdej okoliczności, gdy szło o zabawę, cieszył się niezmiernie z swoich młodych towarzyszy, a zwiedziwszy wszystko, co tylko godnego było widzenia w Puławach, zaprosił ich na kilka dni do swojej majętności—i w tem nieznalazł wielkiego oporu; dla młodzieży opuszczającej ławy szkolne najmilszą rozrywką jest polowanie, a bagna i trzęsawiska w dobrach pana D. coraz bardziej zachęcały obydwóch przyjaciół do przyjęcia grzecznych zaprosin obywatela. Przybywszy nad wieczorem do dworu zostali najuprzejmiej powitani przez gospodynię domu panią D. i dwóch synków od 8 do 10 lat mających, w godzinę później zasiedli do smakowitej wieczerzy, która bardzo była na czasie, zwłaszcza po dwudniowej wędrówce, po suchych serdelkach i bułkach, bo trudno było w oberzach dostać co oprócz kawy lub herbaty. Przy stole najbardziej ich zastanawiała staruszka przeszło lat 80 licząca; ubrana była w ciemną obdłużną zaodziewkę, spodnicę dreliszkową w paski, i wielki czepiec z żółtemi wstążkami na głowie. Niemogli obadwaj gośście odgadnąć jej charakteru w tym domu, zwłaszcza, że jak gospodarz tak i gospodyni podawali jej półmiski z potrawami, zachęcając do jedzenia temi wyrazy:

— Niech no Resia bierze! niech no Resia nieżartuje, ale je, bo się Resi w nocy będą cygani śnili. — Ona też brała bez ceremonii i... mimo tak podeszłego wieku, zajadała z niepospolitym apetytem; wreszcie gospodarz, chcąc zaspokoić coraz widoczniejszą ciekawość swych młodych gości, odezwał się w te słowa:

— Widzicie panowie gracyalistkę naszej rodziny; jest to panna Regina M. córka byłego ekonoma z dóbr Żarowskich, lat temu 60 i kilka miała narzeczonego Jana W., który był komisarzem u państwa B..., w chwili, gdy miała wyjść pierwsza ich zapowiedź, rozeszła się wieść, że konfederaci barscy oblegają Kraków, nasz pan Jan nie wiele myślący, porwał najlepszego konia ze stajni... zostawiwszy małą karteczkę do panny Reginy, w której prosił aby cierpliwie czekała jego powrotu, zniknął bez wieści; w rok później dowiedziano się, że zginął w czasie zdobywania zamku; w tymże czasie ojciec jej umarł, a ona przyjęła obowiązek panny respektowej u mojej babki, a choć jej samej Bóg odmówił szczęścia być matką, była nią przecież dla całej rodziny naszej: wypiastowała najprzód ojca mego, potem nas wszystkich braci, a w końcu tych oto dwóch wisusów; a temu starszemu lat temu trzy uratowała życie, gdy przez nieostrożność wypadł z łódki na środku stawu — domyślicie się zatem panowie, że poczciwa Resia należy już do naszej rodziny, wszyscy ją kochamy jak matkę, i panowie ją polubicie, gdy ją bliżej poznacie: bo panna Regina umie się każdemu podobać, zwłaszcza gdy zacznie opowiadać dawne przygody, których była świadkiem, albo które w swem dziecięctwie jeszcze słyszała.

— Radzibyśmy posłuchać — odezwali się młodzieńcy, i jeżeli niesprawi przykrości pani?...

— Za pozwoleniem — rzekł gospodarz, przestrzegam panów, abyście nieużywali do Resi wyrazu pani, ani jejmość, bo ją to w zły humor wprowadza, jest panną i szczyci się tą nazwą.

— Będziemy uważnymi!

— No, kochana Resiu, opowiedz nam jaką ciekawość z dawniejszych czasów; ci młodzi kawalerowie z miasta są bardzo ciekawi, bo ręczę, że nic podobnego nie słyszeli, choć mieszkają w starym grodzie Lublinie.

— Ej kiedy bo Stasio... to tylko kusić lubi, wam wszystkim domowym to moje gadaniny mogą się podobać, ale ci panowie...

— Owszem bardzo ciekawi jesteśmy, prosimy! prosimy wszyscy!

— Ha, kiedy mię tak forsujecie, to w imię Boskie i powiem!

(*C. d. n.*)

MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO

dla postępu społecznych umiejętności.

W b. r. zgromadziło się wymienione Towarzystwo w Brukseli i rozpoczęło swoję czynność na dniu 22 września. Pierwsze posiedzenie rozpoczął burmistrz miejscowy *Fontainas* świetną mową.

Oddział pierwszy zajmuje się *porównawczem prawodawstwem;* w tym oddziale przemawiał *Girardin* za bezwarunkową wolnością druku peryodycznego... a to... jakoby szło jedynie o rzeczy czystej wyobraźni, ponieważ prasa dobrego rządu ziym, a złego dobym nie zdoła uczynić; równie jak w żadnym względzie z prawdy nie uczyni nieprawdy, i nadwrót. — *Pelletan* żąda także wolności druku; lecz w krainie teoryjcznej tylko. *Pressencé* pragnie największej wolności jedynie dla religijnej polemiki.

Oddział drugi zajmuje się *wychowaniem i nauką.* W tym oddziale żywo mówią o szkolnym przymusie; mówią za nim i przeciw niemu. List Wiktora *Hugo*, przemawiający za szkolnym przymusem, zajął słuchaczów. (Zob. „Czas" krakowski).

Trzeciemu oddziałowi idzie o sztukę (artyzm) i umiejętność. Prezes Aleksander *Weill*, zapytał i zapytaniem rozbudził powszechną ciekawość: azali jest gdzie jaka oznaka, jaka miara, by za jej pomocą można oceniać sztuki i umiejętności? Azali w 19tym wieku jest rzeczywiście jaki pisarz i artysta (zasługujący na to miano?) *Ulbach* sądził, że książka najmniej obyczajna, jest oraz najgorszą . . że żadnego znamienitego pisarza obecnych czasów nie podobna oskarżyć o demoralizacyą społeczeństwa. . . twierdził, że nie ma arcydzieła nie moralnego . . . że tylko na drodze swobodnej, drodze wolności podobna zdążyć do krainy moralności. *Randolet*, profesor filozofii, twierdzi, że nawet najlepsze dzieła mogą nie mało nieszczęścia spowodować, i za przykład stawia *Werthera* Goethowskiego. To ostatnie twierdzenie dało pochóp *Behren*'owi, że stanął w obronie Goethego z wielką dla wymienionego właśnie mistrza chlubą.

Czwarty oddział zajmuje się publiczną dobroczynnością i opieką zdrowia. Gdy już nie mało powiedziano o pijaństwie, *Burggraeve*, profesor z Gendawy, rzekł: zamiast co lud zapychacie morałami, wolicie mu dostarczyć pożywienia: boć brak zdrowego i dostatecznego jadła tłumaczy skłonność do gorących trunków, które... aczkolwiek zdrowiu nie służą, przecież dodają chwilowo siły ciału, potrzebnej do pracy. Potemu rozprawiano o pracy (ręcznej?) *niewiast* i t. d.

Piąty oddział zajmuje się *gospodarstwem narodowem* (ekonomią polityczną). Rozprawiają o teoryi upodatkowania. Panna Klemencya *Royer* z Luzany (hoża dama, współpracowniczka dziennika *Economistes),* wcale biegła w sprawach podatkowych, jest zatem, aby osoby tylko wedle ich stosunku do państwa upodatkowywano... Kongresowi przedłożono dwa wypracowania pań; a to jedno p. *Baines* z Londynu: o *przyczynach śmiertelności dzieci*, a drugie p. Franciszki *Lewald Stahr* z Berlina: o *udziale niewiast w industryi.*

Żegluga napowietrzna.

Angielscy aeronauci Glaisher i Coxwell przedsięwzięli nową wyprawę napowietrzną w celach naukowych, której rezultaty pod wielu względami są ciekawe. Na wysokości $1^3/_4$ mili angielskiej napotkali na grubą warstwę chmur, po której przebyciu atmosfera się rozrzedziła i rozjaśniła, a gaz w balonie tak nagle się rozszerzał, że z szaloną szybkością balon do góry lecieć począł. Na wysokości trzech mil od ziemi, wypuścili jednego gołębia, aby uważać lot jego. Biedna ptaszyna nie leciała; ale padła, jak gdyby była kamieniem. Tak samo rzecz się miała i z drugim gołębiem; trzeciemu udało się uczepić się balonu, jednak podróżni nasi nie wiedzą, co się z nim stało? Z dwu innych gołębi, które miano w koszu, jeden był nieżywy a drugi omdlały, kiedy na ziemię balon powrócił Na wysokości pięciu mil pan Glaisher czuł się zupełnie ślepym, a ostatnia data termometrowa, którę mógł jeszcze zanotować, wskazywała 5° R. niżej zera — później wskazywał termometr 10° niżej zera, ale Glaisher nie był już wstanie zanotować, tracił bowiem powoli przytomność. Pan Coxwell trzymał się dłużej; dziesięć minut jeszcze unosił się balon w górę z szybkością nie do opisania, i według rachunku Coxwella doszedł sześciu mil angielskich. Teraz i Coxwell poczuł, że mu się zaczyna źle robić, a chcąc odemknąć klapę, w celu wypuszczenia gazu, z niemałym spostrzegł strachem, że żadnym palcem ruszyć nie może. Ale ocknąwszy się, prędko chwycił zębami za sznur otwierający klapę; gaz zaczął powoli wypływać, a balon ku ziemi się zniżać; poczem Glaisher do siebie przyszedł i dalsze robił postrzeżenia. Termometr pokazywał im, że do 20° niżej zera byli się wznieśli; flaszka wody, którę ze sobą mieli, na ziemi jeszcze była zamarznięta i... dopiero w godzinę odtajała. Ręce Coxwella — zapomniał bowiem rękawiczek — poczerniały w regionach wyższych, a... dopiero w miarę zbliżenia się do ziemi... przybierały dawniejszy kolor. Zresztą spuszczając się na dół nic szczególniejszego nie doświadczyli.

Selery. Ogrodnicy paryzcy, aby selery otrzymać wielkości głowy ludzkiej, tak sobie postępują: kiedy seler dójdzie do połowy wielkości swego korzenia, wycinają mu w sercu mały otworek i w ten zasadzają ziarnka (nasionka) rzodkwi okrągłej, dużego gatunku. Ziarno to kiełkuje, wzrasta, łączy się z selerem, przez co powiększa jego wielkość, przybierając zarazem przyjemny smak selerów.

Włókno chmielowe. W Czechach hodują na wielkie rozmiary chmiel, i niejednego tam chmiel cały dochód stanowi. Tam też i z łodyg chmielowych mają korzyści nielada, albowiem z nich w jesieni po obraniu chmielu wyrabiają włókno, które przewyższa równością i dobrocią włókno konopne. Po obraniu chmielu, pozostałe z liścia oczyszczone łodygi przecinają na kawały, potem je na łąkach rozścielają i przez kilka dni wodą polewają, a w końcu podobnie jak konopie moczą, suszą, tłuką, czeszą i otrzymują włókno, z którego wyrabiają wańtuchy do przewożenia chmielu lub innych rzeczy. Kręcą także z tego włókna chmielowe sznury i postronki, które o dwa razy są mocniejsze od zwyczajnych z konopnego włókna kręconych.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.